

Ilość jadu i pomyj wszelkiego autoramentu wylanych na związki zawodowe w ostatnich tygodniach mierzy się już w hektolitrach. Chuligan i oszołom (Piotr Duda), egoiści, darmozjady i podpalacze (NSZZ „S”) – to niemal najłagodniejsze z wyzwisk, które zapewne w ramach miłości i dialogu wysypały się z ust polityków PO i ich usłużnych towarzyszy – dziennikarzy. Jeden Durczok – zapewne ze względu na śląskie korzenie – próbował być bardziej dociekliwy wobec rozmówców z rządzącej koalicji.

Tymczasem oprócz niego nic lub niewiele mówiono o przyczynach zaistniałej sytuacji. A tymi przyczynami są po pierwsze – puste obietnice (nie zamkniemy żadnej kopalni czy stoczni, mamy inwestora z Kataru itp.), po drugie – brak długofalowej koncepcji rozwoju szczególnie przemysłu i po trzecie – brak chęci do rzeczywistego dialogu. Konflikt na Śląsku pokazał jak w soczewce błędy i zaniechania tej władzy, które prowadzą do konfliktów społecznych i ludzkich dramatów, ale także do zagrożeń na narodową skalę. Czy wcześniej nie można było rzeczywiście pochylić się nad długofalowym planem choćby związania sektora energetycznego z wydobywczym, wiedząc, że polskie elektrownie długo jeszcze w swojej większości będą skazane na węgiel? Czy naprawdę Rosjanie mają nas uczyć, jak skutecznie zablokować import jabłek, wieprzowiny, sera i czego tam jeszcze, a my nie potrafimy skutecznie ograniczyć importu rosyjskiego węgla, by chronić miejsca pracy w Polsce i energetyczne bezpieczeństwo? Czy rzeczywiście trzeba decyzję o likwidacji zakładów pracy zatrudniających tysiące ludzi podejmować w trybie specustawy w kilka dni? Czy tak trudno zrozumieć, że lepiej zawczasu podjąć rozmowy ze związkami zawodowymi i lokalnymi społecznościami, a nie wtedy, gdy zdesperowani ludzie wyjdą na ulicę?

To tylko niektóre z pytań. Retorycznych, bo odpowiedzi na nie znamy od lat. Wiemy, że ta koalicja działa jak straż pożarna lub agencja marketingowa – byle ugasić ogień i słupki poparcia utrzymać na poziomie, reszta się w gruncie rzeczy nie liczy. A jak się wizerunkowe potknięcie zdarzy – to zawsze usłużni posłowie i dziennikarze są na posterunku, żeby przeciwnika zgnoić i zohydzić w oczach opinii publicznej. Abstrahuję tutaj od opłacalności wydobywania, czternastek, deputatów itp., gdyż – wbrew pozorom – liczne przykłady pokazują, że nieopłacalna kopalnia, czy też inny zakład, raptem stawały się opłacalne. Nie bez kozery Niemcy i Czesi już myślą o budowie na Śląsku nowych kopalń. Najczęściej zresztą zależy to od sprawnego i mądrego zarządzania – jeżeli rzeczywiście wszystkie argumenty za i przeciw leżą na stole, a pracodawca jest otwarty na dialog, nie spotkałem się, by ten dialog związki odrzuciły.

Ale trudno się dziwić, jeżeli władza potrafi się z takim impetem zaangażować w to, by polscy kierowcy w Niemczech zarabiali mniej (?) Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz naszą konkurencyjność promujemy przede wszystkim przy pomocy tanich kosztów pracy. Tylko czy naprawdę władza promująca taką konkurencyjność nie zdaje sobie sprawy, że staje się ona

jednym z głównych przyczyn zarobkowej emigracji? Że młodzi, znający języki ludzie miejsce swoje, swojej rodziny i ścieżkę kariery widzą poza własnym krajem. A Niemcy? Przyznam, że nie dziwię się, że nie chcą nieuczciwej konkurencji u siebie, a przyjęte po długich społecznych i politycznych debatach rozwiązania (federalna płaca minimalna) traktują i egzekwują z pełną powagą. Tylko u nas przyjmuje się rozwiązania prawne, które teoretycznie mają chronić pracownika przed wyzyskiem i nadużyciami, po czym robi się wszystko, żeby to prawo nie było skutecznie egzekwowane. Bo – jak powiedział na komisji sejmowej jeden z bodaj wiceministrów – decydować powinien rynek.

I na koniec jeszcze jedna refleksja po śląskim konflikcie, może mało odkrywczą, ale warta, by ciągle do niej wracać – tylko zorganizowani i w pełni zdeterminowani w walce o nasze miejsca pracy będziemy skuteczni. Kiedy to zrozumiemy?

Jacek Rybicki